

PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 25 (194)

WARSZAWA

24 CZERWCA

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

MARIAN DESLOGES — O POLSKI SŁOWNIK LITERACKI
WŁADYSŁAW SEBYLA — ZNOW LETNIA NOC...
TADEUSZ PEIPER — BAROJA, WOJNA I I.P.
KAROL IRZYKOWSKI — PRZEKLEŃSTWO DOBREGO CZYNU

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

„RAJSKA JABŁOŃ”

Jednym z najpopularniejszych sądów, krążących wśród czytającej publiczności w okresie zainteresowania współczesnie niemal wydanymi *Dziewczętami z Nowolipek* i *Granicą*, było przeciwstawienie „chwytającej za serce” uczuciowości pierwszej powieści przykreemu chładowi drugiej.

Na marginesie tych niewiele mówiących impresji warto jednak przypomnieć trudności leżące u podstaw wartościowania utworów o dużym ładunku emocjonalnym, działającym egestywnie a niewspółmiernie z artystycznym. Wysoki poziom literacki *Granicę* oraz raczej pozaartystyczne zalety *Dziewcząt z Nowolipek* są tej niewspółmierności dowodem. Lecz któż z nas oprze się urokowi niedawnej przeszłości owianej mgłą zadumy i sentymentu, do kogo nie przemówią smutne losy istot rwących się ku życiu? *Dziewczęta z Nowolipek* zniewalają czytelników, jest jednak rzeczą problematyczną, czy istota tego wpływu nie leży poza granicami sztuki. Jeśli przedstawiało się to dość zagadkowo w dwóch pierwszych tomach, wydanie *Rajskiej Jabłoni*¹ ułatwia rozstrzygnięcie dylematu. Przedłużenie tej samej problematyki, tych samych chwytów technicznych i stylu ujawnia na skutek osłabienia wysiłku twórczego widoczne pęknięcia i skazy.

Dużo w swoim czasie pisano o zagadnieniach społecznych w *Dziewczętach z Nowolipek*, lecz chyba tylko jednostronna analiza mogła rozstrzygnąć różne możliwości interpretacyjne na korzyść zdecydowanej ideologii. Niewątpliwie, warunki społeczne są w pewnej mierze odpowiedzialne za niewolę duchową dziewcząt i ich tęsknotę do lepszego świata; z nich wypływa fatalizm, który każe bohaterkom z kręgu Nowolipek całe życie „spłacać dług” i nie zaznać szczęścia. Czyż jednak te ciężkie warunki bytowania mogą również usprawiedliwić niesamodzielną dziewczęta, ich bezradność wobec życia i lunatyczną bierność, z jaką poddają się pierwszej spotkanej miłości? Pełnia ideologii społecznej wymagałaby przeciwstawienia „wyższemu światu” jednostek silnych i twórczych; w przeciwnym razie odpowiedzialność w równej mierze spada na zgubną siłę miłości, której narzedziem staje się każdy, zarówno bezwartościowy jak szlachetny mężczyzna. Te dwie potęgi — miłość i głód — fizyczny i moralny, bratają wszystkich w wspólnym tragizmie istnienia. Pesymistyczna nuta utworu płynie stąd, że autorka nie przeciwstawia tym siłom nie prócz zdrowego rozsądku. Mimo niejednoznaczności ideologii apoteozą śmierci Frani, ucieczki Cechny oraz zgaszy Bronki wobec utrwalenia się praktycznej Kwiryny i Amelki na pewnych pozy-

cjach życiowych posiada wymowę, do której nie już zdawało by się dorzucić nie można. Tymczasem autorka podejmuje opowiadanie o losach swych bohaterok mniej więcej po latach ośmiu od chwili, gdyśmy się z nimi rozstali, i ten dalszy ciąg przetapowuje zupełnie porządek zaznaczony w zakończeniu poprzednich tomów.

Następny etap życiowy umieszcza autorka przede wszystkim te, które stały na szczycie ironicznej hierarchii — Amelkę i Kwirynę, obciążając je piętnem czy to rzeczywistej i ujawnionej zbrodni, czy też tylko skrycie dręczącej sumienia winy. Już jednak z kłęk Kwiryny, a nade wszystko z życia Cechny, śmiało wyrwywającej się ku samodzielniemu istnieniu, wynikają pewne wartości. Pierwsza po śmierci męża idzie, choć z pewnym wewnętrznym oporem, drogą jego przyjaźni ku ludziom, druga natomiast, rezygnując z własnego pragnienia „podpory i utwierdzenia”, całkowicie oddaje się córce. W chwili gdy Bronka — sumienie społeczne utworu i symbol niszczącej miłości — ginie pod kołami wozu, Cechna cieszy się, że wraca do małej Zuzanny, której dziwna, pełna ukrytego demonizmu i energii natura jawi się może w następnym pokoleniu jakąś pozytywną siłę.

Czy jednak powyższa interpretacja da się pogodzić z zaznaczoną na innym miejscu tęsknotą Zuzanny do spokojnego życia bez wrażeń (a więc takiego, jakie było udziałem dziewcząt z Nowolipek) i wielokrotnie powtarzaną myślą, że „zawsze się wraca tam, skąd się wyszło”?

Widzimy więc, że w *Dziewczętach z Nowolipek* i w *Rajskiej Jabłoni* linie problematyki życiowej płaczą się i dopuszczają możliwość różnych interpretacji. Autorka nie umiała obrąć jedynie — choć niewątpliwie trudnej drogi pomiędzy paczącą artystyczną tendencją a niezbędną w każdej powieści moralną odpowiedzialnością za poruszane zagadnienia.

Te same zastrzeżenia dotyczą stylu i budowy utworu. Już w *Dziewczętach* można było wyróżnić reminiscencje historyczne w zasadniczych stylów: począwszy od neoromantyzmu, przejawiającego się w noweliściej budowie powieści, nadmiarze liryzmu i symboliczności — poprzez ekspresjonistyczne pointy — do neorealizmu i wspomnianego tonu, charakterystycznego dla literatury powojennej. Ta niejednoznaczność stylu w połączeniu ze splątaniem motywów i wątków, potrącanych tylko za pomocą nastrojów i niedomówień, nie mogła stworzyć harmonijnej całości. W *Rajskiej Jabłoni* przeniesienie akcji z małego odcinka miasta na bardziej rozproszone tereny spowodowało jej decentralizację. Tutaj wątki rozłamane są na autonomiczne, przypadkowo tylko stykające się całości. Każdy z tych wątków oplata się wokół postaci jednej z bohaterok i, co najniżej, nie

każdy niemal posiada odrębny styl i poziom artystyczny.

Tak więc postać Kwiryny odmalowana jest najlepszymi środkami techniki realistycznej. Zmaganie się w tej żywiołowej naturze nowego anarchicznego życia uczuć z wpojona w krew tradycją „tulubów” ujęła autorka śmiało i rzetelnie w kształt zwycięzcy i wyraziści. Papierowy i anielski Roman, doskonale tło dla bujnej indywidualności Kwiryny, staje się po śmierci dobrym duchem, prostującym ścieżki jej życia — w sposób już mniej artystycznie przekonujący. Realistyczne szczegóły, rozrzucone obficie w opisie środowiska małżonków, są dobrze zestrojonym elementem całości. Na przykładzie Kwiryny widać przezwyciężenie liryzmu; autorka, podobnie jak w stosunku do Agnieszki z *Ziemi Elżbiety*, umiała zobiektywizować materiał chaotycznych wrażeń i wzruszeń, by osiągnąć dopiero odpowiedni od nich dystans, wziąć pełną odpowiedzialność za stworzoną postać.

Wraz z przejściem do osoby Bronki wchodzimy w zupełnie odrębny świat. Tę subtelną, sponiewieraną przez życie i własną słabość istotę autorka obdarzyła największym współczuciem i sympatią; jej oczami patrzy na przyrodę, jej jednej daje prawo sądu nad fałszywą filantropią „wyższego świata”, ona płacze nad upadkiem moralnym uległego temu światu Ignacego. W odniesieniu do tej postaci, owianej urokiem poezji i liryzmu, najwyraźniej można zaobserwować nawrót do neoromantyzmu i ekspresjonizmu, najmniej sprzyjających zobiektywizowaniu uczuć.

Wokół Bronki autorka roztoczyła najobficiej aurę wspomnieniową, charakterystyczną dla wszystkich czterech tomów, tutaj jednak najłatwiej wykryć, że jest to za wodny sposób artystycznego kształtowania rzeczywistości. Bronka żyje przeszłością i wspomina Nowolipki; stykami się więc z zasnutymi mgłą oddalenia sytuacjami, które znany już z tomów poprzednich.

Dla zdania sobie sprawy, że wspomnienie może być materiałem artystycznego tworzenia, warto przytoczyć słowa Marii Dąbrowskiej z przedmowy do *Ludzi stamtąd*: „Wspomnienie jest jednym ze stanów duchowych, które pozwalają widzieć życie od estetycznej strony, są wyzwoleniem z postawy utylitarnej ku bezinteresownej i kontemplacyjnej. Minione zdarzenia życia są wdzięczną kanwą dla twórczości artystycznej — szczególnie o *epickim* ujęciu rzeczywistości”.

Na przykładzie cyklu Gojawiczyńskiej można stwierdzić, że wspomnienie na usługach liryzmu nie jest wdzięcznym literackim tworzywem, gdyż etaje się łatwo wżyzwaniem nieskoordynowanych uczuć. Dlatego też z przeżyć Bronki, mimo wielu momentów subtelnych i wzruszających, wieje monotonia i bladeść. Pod wielomó-

wymi niedomówieniami otwiera się zamiast tragicznej głębi — pustka. Sympatia dla bohaterki słabnie w braku moralnego i artystycznego pokrycia i o jej śmierci czytamy tak, jakby to była wzmianka w kronice wypadków.

Wątek, dotyczący Amelki, jest małoważny i banalny. Amelka chce być „prawdziwą”, lecz ta autokrytyka (zrównoważona zresztą na innym miejscu jej poczuciem wyższości w stosunku do t. zw. porządných ludzi) nie wystarcza, by wzbudzić zainteresowanie dla jej zwierzeń, niepotrzebnie, nieproduktywne szczerych, i dla przeżyć, nie odbiegających poziomem od tęsknot i lez modnej piosenki, jednej z tych, o których Bronka mówi: „To w sam raz dla nas, jak gdyby ktoś specjalnie napisał”. W stosunku do Amelki da się najlepiej zauważyć, dlaczego technika zastosowana w *Dziewczętach z Nowolipek* nie mogła w *Rajskiej Jabłoni* wystarczyć. Oto bohaterki dojrzały, a przeżycia ich w znacznej mierze zatrzymały się na poziomie dziewczęcych marzeń, gdy atrakcyjność takich słów, jak „nieznane”, „listy z pieczęciami miłości”, tłumaczyła się młodocianym wiekiem.

Chwiejność i wieloznaczność pionu ideowego *Rajskiej Jabłoni*, niejednoznaczność stylu, rozlewność lirycznego wyrazu oraz chaotyczność budowy — wszystko to są różne aspekty tego samego zjawiska: osłabienia wysiłku twórczego. Czy nie świadczy pośrednio o osłabieniu twórczym te słowa Bronki, w których autorka jak gdyby zrzuca odpowiedzialność za splót nierozwikłanych splątanych przypadków na fatalizm: „Czy nie uważacie, że wszystko to musiało się stać. Mus życia, konieczność przeżycia, jak w raju, pod drzewem wiadomości dobrego i złego”?

Dla zrównoważenia tych braków, wpływających w znacznej mierze z widocznego pośpiechu (prowizor Jan Cichocki został na poprzedniej stronie nazwany Wiktoorem), należy wymienić momenty, w których nierówno falujący artystyzm wznosił się do wysokiego poziomu. Da się to zaobserwować na postaci Kwiryny, starannie opracowanej Zuzanny oraz w szeregu scen; uderza np. opis Kwiryny i Bronki, poszukujących w zamęcie przewrotu majowego swych kochanków, oraz wyczelowana psychologicznie, z lekkim akcentem ironii, rozmowa Magdaleny z Ignacym przed przewidywanym rozstaniem.

W końcu należy raz jeszcze przypomnieć, że cykl Gojawiczyńskiej zbyt wiele ma uroku i szczerzego sentymentu, byśmy przez cały czas pamiętali o jego brakach artystycznych. Czytelnik doświadcza w trakcie lektury wielu miłych wzruszeń — choć z kategorii nie najistotniejszych dla kontemplacji dzieła literackiego.

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

¹ POLA GOJAWICZYŃSKA: *Rajska Jabłoni* 2 tomy. Nakładem „Roju”.

MARIAN DESLOGES

O POLSKI SŁOWNIK LITERACKI

I

Trwająca obecnie „wojna na Parnasie” — dyskusja na temat podstaw, metod i charakteru nauki o literaturze, historii i krytyki literackiej, świadcząca o głębokim kryzysie, jakie przechodzą obecnie wszelkie badania literackie, posiada niewątpliwie znaczenie bardzo doniosłe i dodatnie. Przyczynia się do odświeżenia nieco zatechłej i trącejącej myszką atmosfery, do odpowiedniego sklasyfikowania wszelkich pseudonaukowych, nawet pseudoliterackich popisów; przynosi nie tylko możliwość naukowego sprecyzowania przedmiotu badań i ustalenia należytej hierarchii motywów, wyluskania obcych, nie-naukowych naliotów, ale odrzuca też na marginesie uświadomienia i postulatory o dużej wadze, mimo ich niewątpliwą poboczności.

Takim dużej wagi postulatem jest sprawa ustalenia terminologii i nauki o literaturze, podniesiona przez prof. Kridla w jego tak głośnej obecnie książce (*Wstęp do badań nad dziełem literackim*, str. 195/6).

Stwierdza on słusznie, że jednym z najbardziej kardynalnych braków i niedomagań nauki o literaturze jest płynność, wieloznaczność i zmienność terminologii. „Terminy te bowiem używane są często w bardzo różnych znaczeniach, czasami wprost w sposób zupełnie prymitywny, daleko pozostającym w tyle poza tym, do czego doszła już współczesna wiedza o literaturze” — pisze prof. Kridl. Wieloznaczność ta występuje zarówno w zakresie określeń historycznych, jak i szczególnie morfologicznych, a nawet teoretycznych badań literackich. Kridl cytuje przede wszystkim przykładowo terminy morfologiczne (z zakresu poetyki), jak „obraz, opis, motyw, akcja (a szczególnie jej różne elementy — przyp. autora), kompozycja, nawet styl, metr i rytm itp.” Do tych nazw można przydać serię określeń z zakresu typologii literatury, wymienić tu można nazwy wszelkich rodzajów literackich, które zarówno w odniesieniu do rodzajów ogólnych, jak liryka, dramat, epika, jak i do odmian szczegółowych stosowane są nieściśle, zamiennie. Często dla tych samych zjawisk używa się różnych terminów. Interesujące zestawienie przedstawia Troczyński (*Rozprawa o krytyce literackiej*), który wykazuje, że tak czołowi badacze, jak Lempicki, Z. Kucharski i Adamczewski, dla tych samych przedmiotów używają różnych określeń (statyka — tworzywo, dynamika — ujęcie, technika — przedstawienie). Nie trudno było by zebrać szeregi podobnych przykładów. Fakt ten nie podlega dyskusji, chodzi raczej o ocenę jego wagi, znaczenia i ewentualnych środków wiodących do jego usunięcia.

II

Jakie są postulaty nauki w zakresie ustalenia terminologii badań literackich? Czy swoboda, czy też bezwzględna jednoznaczność jest pożądana i korzystna dla rozwoju nauki? Odpowiedzi na takie pytania bywają bardzo różne, wahają się od skrajnego liberalizmu do filologicznej ścisłości. Liberalizm zezwala badaczowi na dostosowywanie znaczeń do zmiennych intencji różnych prac, w konsekwencji zaś do wiecznej fluktuacji terminologii, do jakiegoś *spiritus flat ubi ruit*, którym popisują się pięknoduchy, ale który podcina wszelką ciągłość terminologiczną w nauce. Słuszność — jak zwykle — leży w pośrodku, należy więc zgodzić się z potępieniem istniejącego stanu rzeczy, a sprawę samą bliżej rozpatrzyć.

Swoboda w stosowaniu terminów płynie nie tylko z programowej postawy, ale — jak najczęściej u nas — z braku ścisłości i metodyczności, będącego wynikiem panujących nastawień i niedomagań odpowiedniego przygotowania. Obie odmiany prowadzą w końcu do absurdu, bo jakżeż można myśleć o jakiegokolwiek ciągłości i rozwoju nauki, jeśli czytelnik przy każdym dziele musi na nowo znaczenia ustalać i przystosowywać do zmienionych założeń. Dobrze by jeszcze było, gdyby autorowie starali się znaczenia przez siebie wprowadzone precyzować i konfrontować z innymi (spodziewać by się tego należało u konsekwentnych liberalistów), jest to jednak próżne pragnienie przy organicznym braku ścisłości i notorycznym niedoświadczaniu jej potrzeby. Stan taki prowadzi do ostatecznie do zupełnego chaosu, a zarazem podcina możliwość ewolucji nauki. Musi ona bowiem zaczynać zawsze od nowa.

Z drugiej jednak strony nikt rozsądny nie może twierdzić, że w nauce pojęcia i terminy muszą być zawsze jednoznaczne. I w nauce o literaturze mogą się one zmieniać,

powinny podlegać ewolucji, ale właśnie ewolucji, a nie jakimś dowolnym i nieumotywowanym przeskokom. Bo ewolucja jest do pomyslenia tylko w takim przypadku, jeśli płynie z pewnych konieczności, jeśli zmiana jest umotywowana i jeśli odbywa się w oparciu o ustalone podstawy. Wszelka ewolucja musi się bowiem do nich odwoływać, przeprowadzić konfrontację ze stanem odrzuconym i wykazać konieczność zmiany. Dlatego też można z pełnym uprawnieniem wymagać i od każdego badacza literatury obowiązkowych konfrontacji własnych terminów ze znaczeniem powszechnym.

III

Postulat słuszny i zapewne każdy pragnąłby się do niego zastosować, lecz w tym momencie wylania się nowa trudność — jak należy w obecnym stanie rzeczy rozumieć

WŁADYSŁAW SEBYŁA

ZNÓW LETNIA NOC...

Zapomniałeś? Znow letnia noc o brzegi bije.

Przestały krzyżeć zorze. Zakwitły kamienie.

Po ciemnych wodach pełną światła złote żmije.

Roznoszą ciepłe wiatry dojrzałe nasienie.

A w tobie serce zgłodniałe uderza

Rytmem wielkiego ze światem przymierza.

Czy słyszysz? Gwiazdy gwizdzą. Ściekają płomienie

po czarnych ścianach nieba. Dzwony ciszy dzwonią.

Idą chrzęsty lasami. Belką strumienia.

Budzą się krótkie szumy nad zastygłą tonią.

Mówi ciemność. W czeluści bezbarwnej topieli

Głosy tych się blakają, co w niej zaginęli.

Słyszysz? Plusnęła ryba i szepty się szerzą.

Pluca przestrzeni dyszą swobodnym oddechem.

W mroku gwiazdnej poświaty kochankowie leżą

i niewidzialnym dzieł się uśmiechem.

Sny sobie powierzają, znużeni rozkoszą,

niebaczni na trucizny, co w snach się panoszą.

Bo zmorzyła ich we śnie śmierć — i teraz marzą

o ciałach swych, że dawno w proch się rozsypały,

o takiej jak ta nocy, nieobecnej twarzy

zwróceniu w mrok, o świecie zapomnianym całym.

Marzą. A w kolo noc się rozprzestrzenia,

bije w brzeg, i zatapia kamienne marzenia.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

owe powszechne znaczenie terminów literackich? W różnych ośrodkach naukowych, u wielu czołowych badaczy znaczenia te są różne, które należy wybrać i stosować? czy je wybierać, czy po dawnemu nie wybierać a tylko konstruować? Kridl odpowiada, że rozwijająca się obecnie w tym kierunku nauka dopiero w przyszłości przyniesie rozwiązania i precyzję. Dopiero postępujące badania teoretyczne mogą przynieść konieczne ustalenia. Rozumowanie takie byłoby jednak za wodne i nicelowe. Dyskusja na temat takiego lub innego ujmowania literatury i jej zjawisk będzie trwać zawsze, zawsze będą wylaniać się problemy natury ogólnej, teoretycznej, wśród których powtarzać się będą badające na pierwszym miejscu zagadnienia dotyczące coraz bardziej precyzyjnego rozumienia poszczególnych elementów morfologicznych czy typologicznych. Czekanie na definitywne rozwiązanie takich właśnie problemów nie wykazałoby dostatecznego zrozumienia dla poetyki i teorii literatury, jako samodzielnych gałęzi nauk o literaturze. Oczywiście ustalenia terminologiczne i metodologiczne, uzyskane na podstawie badań teoretycznych, mają doniosłe znaczenie dla praktyki, lecz zupełnie niezależnie od nich tej ostatniej, choć pożądana, nie jest zawsze możliwa. Nie można bowiem zawiesić badań praktycznych w oczekiwaniu na wyniki teoretyczne, gdyż może się przy takim założeniu wytworzyć błędne koło, w którym nigdy właściwie badania literackie nie znalazłyby dla siebie miejsca. Przeczyć temu oczywiście. Tak więc poprawy aktualnego a złego stanu w zakresie stosowania ter-

minologii nie można uzależniać od dalekich jeszcze ustaleń opartych o specjalne prace, jak tego pragnie Kridl, a przeciwnie: należy szukać środków poprawy działających szybko i dających się realnie osiągnąć. Musi to być środek łatwy, szybki i dostępny. Tym może być tylko encyklopedyczny słownik terminów, zastosowany do sytuacji i możliwości.

IV

Realizacja takiego pomysłu posiadałaby wagę niezmiernie doniosłą, lecz zależną w zupełności od przeprowadzenia jej w szczegółach. Wartość takiego słownika nie podlega chyba dyskusji, a dająca się powszechnie wyczuć jego potrzeba winna przelamać (oby!) nawet specyficzne polskie trudności wydawnicze, a może, uznając potrzebę takiego przedsięwzięcia, i towarzyszą naukowe pomysły o jego realizacji? Stawiając zaś

V

Z aktualnych potrzeb płynąłby też następny postulat: wyłączenia z takiego słownika strony historyczno-literackiej. Słownik ten miałby zarządzić przede wszystkim istniejącym nieporozumieniom i chaosowi metodologicznemu, ułatwić możliwość porozumienia się co do chwytów metodologicznych, wpłynąć na podwyższenie poziomu ścisłości i metodyczności prac literackich, więc musi być właściwie przewodnikiem metodycznym. Nie może mieć charakteru encyklopedii historycznej, gdyż rozszerzenie przedsięwzięcia tego w tym kierunku zwiększyłoby objętość dzieła, zatarło konieczną jednolitość, podniosło koszt, a wreszcie podrażając książkę utrudniłoby jej rozpowszechnienie. Nie należy tu mieszać oczywiście historyczności w sensie przedstawienia szkieletu ewolucji pojęcia z historią występowania jego przedmiotu w konkretnych dziełach literackich. Jedyną koncepcją na rzecz historii literatury mogłyby być przeglądy różnych teorii kierunków literackich, takich jak humanizm, romantyzm, barok i t. p. Natomiast w charakterystyce rodzajów literackich historycznym winien być podporządkowany ujęciu systematycznemu, odmiany historyczne potraktowane morfologicznie i typologicznie a nie ewolucyjnie.

VI

Jednakowoż jakiegokolwiek by były programy, nie program tu decyduje, tylko rzecz sama. W wykonaniu można zastosować prac zbiorową, może znalazłby się i powołany autor, który pracę taką z pożytkiem by wykonał, lecz zawsze tkwi w takim rozwiązaniu techniki wykonania niebezpieczeństwo jednostronności, szczególnie ważne dla tego przedmiotu. Można by sobie wyobrazić najidealniejsze warunki dla rozwiązania i przeprowadzenia takiego przedsięwzięcia pod postacią imprezy jakiegoś towarzystwa naukowego.

I jeszcze jedno: znamy piękne przykłady „długowieczności” dzieł naukowych niemieckich — drobne w pierwszym wydaniu dzieło rozrasta się i doskonali, dostosowuje do nowych zadań i nowego materiału w szeregu dalszych wydań. Po śmierci autora względnie redaktora przychodzi na jego miejsce kto inny, a dzieło zawsze jest w handlu i czyni zadość ostatnim potrzebom nauki. Nie trzeba więc od razu zakładać planu takiego słownika jako dzieła mającego walor ostatniego słowa w tej dziedzinie, niech początki będą skromne, niech natomiast pozostanie możliwość doskonalenia i rozwoju w dalszych wydaniach.

VII

Efekty? Czy można spodziewać się, że wydawnictwo radykalnie zmieni istniejący stan rzeczy? Było by to oczywiście przesada. Jeśli by doszło do skutku, to dopiero byłaby zrobiona mniejsza część drogi. Druga i ważniejsza leży w wykształceniu pewnej kultury naukowej pisarzy oddających się badaniom literackim. Tej kulturze naukowej stoi na przeszkodzie szkodliwy przesąd, że nauka o literaturze, historia literatury, to jakby część samej literatury, że sprawa ścisłości jest podporządkowana piękności i gładkości podania, że te badania literackie mają w tym sensie zbliżyć do dzieła, by podać sugestywnie, drogą literackiego ujęcia nastroj, specyficzną „aurę” dzieła, jednym słowem zasugerować irracjonalistycznie pogląd na dzieło. Dopóki te szkodliwe i sprzeczne z charakterem nauki poglądy i realizacje nie zostaną wyrugowane z praktyki literackiej (choć nie koniecznie z krytyki, która ma inne specyficzne zadania), dopóty słownik taki nie mógłby spełnić w pełni swego zadania. Lecz w dokonującej się obecnie ewolucji pojęć przyczynić się może waleń do zwycięstwa prawdziwej naukowej metody, dając badaczom narzędzie o dużej wartości metodycznej.

MARIAN DESLOGES

TADEUSZ PEIPER

BAROJA, WOJNA i t p.

Wpadam w rozmowę między Baroją a Ksawerym Pruszyńskim. Gdybym powiedział, że się w nią wtrącam, powiedziałbym za wiele. Nie nawiązuję ani do pytań ani do odpowiedzi, lecz siadam za krzesłem Baroju i mrużę.

I

Zaczynam od stanowiska, jakie Baroja zajął w czasie wielkiej wojny, a czynię to nie tylko dlatego, że przytrzymywany w tych latach w Hiszpanii nieubłaganą siłą frontów wojennych, ten właśnie okres Baroju znam najlepiej. Czynię to także z nakazów samej sprawy. Cokolwiek by się mówiło o konieczności rzucenia zasłony na minione orientacje, trudno nie widzieć, że ile razy chodzi o budowanie konturów któregokolwiek spośród wybitniejszych współczesnych, tyle razy najwyraźniejsze ich krechy będą pochodziły z linii, które spoczywają, biegną czy mkną wśród tych kilku niezatartych lat: 1914 — 15 — 16 — 17 — 18. Otóż i Baroję lata te budują z wyrazistością, która zaspokaja wygórowane nawet życzenia.

Nie zrozumiał ani nie wyczuł Pio Baroja ważności tego gigantycznego zderzenia narodów. Nie znajdował w nim nic z tych wróżb wewnętrznych, które miałem w sobie, a które mi mówiły, że owo zderzenie stanie się początkiem nowego stulecia, początkiem nowej epoki dziejów. Miałem wrażenie, że Baroja, patrząc na mapę ówczesnej Europy, klął króciutką szpileczką te punkciki, na których śladami swoimi zaznaczyły się muchy. Żadnej sprawy nie brał w garść, nie odważał, nie rozkrwał, nie przekikał, nie docierał do tego jej ośrodka, z którego mógłby wydobyc rozstrzygnięcia lub choćby tylko wyraźny nakaz. Powierzchniowo posługiwał się ideami przerożonego pochodzenia, a o faktach wypowiadał nieraz takie absurdy, jak np. to, że Niemcy zasymilowali Polaków do tego stopnia, iż pod zaborem niemieckim nikt już nie umiał po polsku. Poza tym ciągle co do wszystkiego miał wątpliwości.

W jednym tylko był niezachwiany: w sympatii dla Niemiec. Podczas gdy cały hiszpański świat intelektualny jednolitym blokiem stanął po stronie Francji i Anglii, on i jeszcze Jacenty Benawente demonstrowali germanofilie. Złotłwi ewsprowadzali ją do próżności pirsarskiej, zadrażnionej obojętności, jaką Paryż okazywał dla twórczości obu pisarzy mimo natężonych wysiłków z ich strony aby w stolicy nadekwańskiej, miejscu ostatecznych ocen, zyskać dla siebie uznanie. Zapewne jest w tej złośliwości nieco prawdy, jednak w wypadku Baroju te zadrażnienia pirsarskie zrodziły nową serię myśli i bardzo mocno połączyły się ze swoim plodem. Wystarczy wspomnieć, że właśnie w rozgwarce polemik wojennych, kiedy to ciągle egzaminowano kulturę różnych krajów dla uzyskania oceny ich wartości, wystąpił Baroja z ideą, że latynizm nie może już być bazą wielkiej kultury, i z wyznaniem, że pisarze typu śródziemnomorskiego nudzą go, bo są tylko „kaligrafami”. Nie nleagał wątpliwości, że te jego wynurzenia godziły pośrednio we Francję. A ponieważ w tym samym czasie posunął się w swym stosunku do kultury niemieckiej tak daleko, że nie cofnął się przed twierdzeniem, iż Niemcy wraz ze starożytną Grecją przyczynili się najbardziej do emancypacji ludzkiego ducha, wszystko było jasne.

W sprawach samej wojny głos jego brzmiał niewiary. Najmniej wierzył tym, którzy miał najbliższą. Wiele jeszcze mniej hiszpańskim ententofilom niż samej Entencie. Ententofilom ewego kraju nie wierzył, bo w ich stanowisku dopatrywał się służalczości i wiązał z nią ich bezkrytyczne powtarzanie francuskich oklepanek. Entencie nie wierzył, bo wysuwała hasła zbyt piękne. Nie wierzył, aby Ententa walczyła naprawdę o wyzwolenie uciśnionych narodów, nie wierzył, aby jej zwycięstwo miało zapoczątkować epokę sprawiedliwości, nie wierzył, bo w dzie-

dzinie walk politycznych widział tylko trwanie wiecznego makiawelizmu, a idea postępu wydawała mu się nierealną fantazją. Czud było, że podziwiał Niemcy poprzez ich armię jako narzędzie wysmiewania wielkich hasel, czud było, że ujmowała go brutalność pewnych wypowiedzi niemieckich właśnie dlatego, że odbijała od „kaligrafii”.

Popęnił jednak błąd w ocenie siły. Wojna przeciągała się, pozycja Ententy, w miarę jak mijaly lata, stawała się coraz silniejsza, ententofile hiszpańscy rozwijali coraz namiętniejszą propagandę za interwencją Hiszpanii w wojnie, ale Baroja ciągle jeszcze oblał ich zimną wodą i jeszcze, pod sam koniec wojny — pamiętam — zalecał, aby w stosunku do Francji i Anglii zdobyli się na trochę sceptycyzmu.

Trochę sceptycyzmu — otóż to, to jest Pio Baroja.

II

Włóknom sceptycyzmu odpowiadają w nim włókna antyfanatyzmu.

Jeśli czego nie ma w nim weale, to owe go władzące plomienie, dokola którego pośluszenie układają się wszystkie myśli i w którego wnętrzu wytipają się namiętne postanowienia. Niechęć do wszelkich działań uliniowanych ideałem, niechęć do wszelkich porywów uskrzydłych wiarą zdaje się być jedną z podstawowych sił psychicznych działających w tym pisarzu.

Wiąże się z tym niechęć do nastawień duchowych i prądów umysłowych, wprowadzonych w duszę Europy, szczególnie zaś w duszę Hiszpanii, przez fanatyzmy semickie. Niechęć ta spływa na wszystko, co ten pisarz mówi, a gdy nie spływa, sączy się podskórny nurtem. Pio Baroja jest antysemitą.

Trzeba wiedzieć, że w Hiszpanii, dawnym kraju Inkwizycji, cieszą się Żydzi w nowych czasach uznaniem. Niemal wszystkie warstwy społeczne nastawione są w stosunku do nich życzliwie. Nieraz opowiadano mi o zapraszając uprzejmych przyjęciach, jakimi ludzie przemysłu i handlu witali Żydów cudzoziemskich, zamierzających rozwinąć za Pirenejami jakąkolwiek akcję gospodarczą. Jak myśli o Żydach lud, miałem sposobność przekonać się, gdy jedna z moich gospożyń, bardzo prosta kobieta, wywodziła w podnieceniu, że upadek wielkiej potęgi hiszpańskiej jest następstwem wypędzenia z niej wyznawców Jehowy. A już zgola zabawnym wydał mi się głos, który pochodził z najbardziej intelektualnych sfer Hiszpanii, głos pewnego literata, któremu opinia przysznawała szczególne wykształcenie, a który usiłował mnie przekonać, że kulturę niemiecką wynieśli na szczyty Żydzi i że gdyby Hiszpania nie była Żydów straciła, wyrwalizowałaby dziś z krajami, idącymi na czele światowej twórczości kulturalnej.

Prawdźwieszą, głębszą i oryginalniejszą rolę odegrali w kulturze Hiszpanii inni semici: Arabowie. Trzeba sobie uprzytomnić jedno: Hiszpania znajdowała się pod ich panowaniem od wieku VIII aż do XV, t. zn. przez czas pięć razy dłuższy niż Polska pod zaborem. W ciągu tylu stuleci niewoli życie hiszpańskie musiało ulec wpływom najeźdźcy, tym bardziej że najeźdźca przynosił kulturę wyższą niż ta którą zastawał. Ludność tubylcza czuła to. Arabska medycyna, matematyka, legislatura, a może jeszcze bardziej alchemia, astrologia i demonologia bardzo pociągaly chrześcijan. Klasyczna poezja kraju Romancera niejedną właściwość wzięła ze źródeł, które nietrudno odnieść do natchnień arabskich, a ludowa pieśń niejednej jego prowincji przechowuje w sobie podziwne rytmy i werbalne gry improwizatorów, którzy przyszli z Afryki. Cuda architektury, wzniesionej przez przybyszów, wywarły na smak tubylców wpływ tak głęboki, że nie kończył się on bynajmniej wraz z wyzwoleniem politycznym, lecz na ziemiach, odzyskiwanych przez chrześcijan, trwał dalej i na niektórych utrzymywał się jeszcze ponad 200 lat.

Woda, z której Arabowie genialnie uczynili wspaniałą dekorację swych budowli, wiedzie myśl od ich architektury do ich agrykultury. W suche ziemie Hiszpanii wprowadzili oryginalny i znakomity system nawodnienia. Uprawę roli podnieśli do nieznanego dotąd w tym kraju rozkwitu. Ich państwo Granady odznaczało się w czasach, poprzedzających zdobycie go przez władców hiszpańskich, taką żyznością, obfitością i bogactwem, że budziło zachwyt, marzenia i tęsknoty nie mniejsze wśród Hiszpanów, jak wśród Arabów. Ta część Hiszpanii stała się ziemią najlepiej uprawianą i najżyźniejszą, ziemią, którą wycięlały sady wezbrane sokami owoców i ogrody obwieszane kwiatami o słodkich woniach i barwach gorących. Pie-

śniarze opiewali tę ziemię, a ich słuchacze przekazywali jej sławę dalej. Przenosiła się ta sława z pokolenia na pokolenie, a że z niej to pochodziły chwały ostatnich nawet czasów, to pojąłem, gdy raz gospożyna moja, opowiadając marząco o Andaluzji, zestawiała ją w końcu z odkorkowanym flakonem perfum.

Siłę, z jaką działały wpływy przybyszów, uwydatnia znakomicie język kastylski. Widać w nim gęste złoża arabszczyzny. To nie przypadek, że z arabskiego pochodzą wielkie ilości nazw owoców i plodów rolnych (alcahofa, albaricoque), nazwy związane z budownictwem (alcazar, alcoba, almacén, albanil), nazwy związane z wnętrzem domu (alfombra, almohada), nazwy związane z administracją sądową (alcalde, alguacil). We wszystkich tych słowach przechowały się ślady owych obszernych i tak ściśle z życiem związanych dziedzin działalności, w których Arabowie byli mistrzami Hiszpanów.

A ich wpływ psychiczny! Wpływ na duże! Wpływ na zabarwienie uczuć, na mechanizm woli! Musiał być o wiele większy niż to podają historycy, skoro uważna i przenikliwa obserwacja może uchwycić go w człowieku hiszpańskim dziś jeszcze. Od Arabów przejęli Hiszpanie okrucieństwo wobec wroga, pasję zamianiania zwyciężonych w niewolników, namiętność nakładania nieludzkich kar na kraje zdobyte. Od Arabów przejęli wysokie natężenie fanatyzmu, który, przeniesiony na teren religii, przeszedł w wiarę, że oni, Hiszpanie, są w świecie katolicyzmu narodem najbardziej katolickim i że to daje im szczególne prawa w starciach z innymi, a przeniesiony w późniejsze ruchy polityczne doprowadzał do nieustępliwości wobec przeciwników, do walk na śmierć i życie, do bezwzględnych działań, kończących się zagładą i zniszczeniem.

Przeciwno wszystkim tym wpływom walczył Pio Baroja, walczył z nimi przede wszystkim w samym sobie. Cała jego literatura zdaje się być produktem tej walki.

Jakby w buncie przeciwko barwności, soczystości, obfitości, z którymi przychodziłi mistrze arabscy, ostentuje bezbarwność, suchość. Jego Hiszpania to Hiszpania czarna.

Jakby w buncie przeciwko maurytańskim galantom, romantycznym bohaterom, nieustępliwości i żądny sławy wojownikom, wybiera dla swych powieści figury małe, cienne, słabe, niestełe, włóczęgowskie, rozbite. Wszystko, co wielkie i co karmi wiarę w wielkość, pozostawia go zimnym. Jego Hiszpania jest Hiszpania Sancho Pansy.

Ale najostrej i najwyraźniej walczył z fanatyzmem. Walka ta daje się wysłuchać ze wszystkich jego wypowiedzi. Czasem ujawnia się łatwym nawolaniem do tolerancji, do spokojniutkiego współżycia wszystkich z wszystkimi, a czasem przechodzi w dziwaczności, których wartość intelektualną nietrudno ocenić. Mówi raz Baskijczyk Baroja o separatystycznych dążnościach Baeków i Katalończyków; jako przeciwnik tych dążeń, powołuje się na ewolucję odwrotną, przebyta przez Włochy, gdzie małe państewka porzuciły swą niezależność na rzecz jednności; usiłuje wytłumaczyć, dlaczego tam mimo antagonizmów jednność stała się możliwa. Oto jego wytłumaczenie: bo Piemont i Lombardia były krajami aryjskimi, bo miały w sobie pogodę umysłu i chłód. Niezbyt przekonujące tłumaczenie, ale bardzo charakterystyczne zestawienie: aryjskość i chłód! Jeśli gdzie, to w Polsce nikt tego zestawienia nie przyjmie. Można by jego twórcę oskarżyć o niewiezowanie się w sprawy lub o ignorancję, ale nie było by to istotne. Zestawienie Baroju jest paradoksem, w którym streścił się on cały: antysemita z antyfanatyzmu, antyfanatyk z chłodem.

III

Dla zobrazowania Baroju stworzono powiastkę o tym, jak będzie wyglądała chwila jego wejścia w siedzibę błogosławionych. Oto cherubin, któremu przypadnie misja zapowiedzenia przybysza, powie: Ten, który tu przybywa, będzie wśród nas bez przerwy chodził, będzie zaziarał we wszystkie kąty i wszędzie będzie robił obiekcje.

Taki jest stosunek Baroju do religii i katolicyzmu. Ale obiekcje obiekcjami, najważniejsza jednak jest ich wartość. Emocjonalna, intelektualna, ludzka.

Niestety to, co w tej dziedzinie daje chłodny pisarz hiszpański, zdradza taką niezdolność chwytania istoty rzeczy, taką krótkowzroczną i krótkomyślną manię izolowania szczegółów, taką buntowniczość wobec kanonów odrywanych od olbrzymiej katedry, że w zetknięciu z jego wypowiedziami w tej dziedzinie przypominają się pierwsze niepokojko kilkunastoletniego ucznia, który w

szeptanych rozmowach wyznaje przyjacielowi dręczące go od trzech dni wątpliwości. Jeśli jeszcze jako tako, można liczyć się z twierdzeniem Baroju, że katolicyzm, jako konkretyzacja latynizmu, nie może być podłożem wielkiej kultury, to już związane z poprzednim twierdzeniem, że zbawienie kultury może wyjść tylko z intensywniej akcji antykatolickiej w rodzaju bismarkowskiego kulturkampfu, przypomina zadowoloną minę psotnika, przykładającego rozczapierzoną dłoń do zasmarkanego nosa. Ubóstwo intelektualne tego pisarza, który nie umiał zwaloryzować swego sceptycyzmu, nie ujawnia się nigdzie tak wyraziście, jak w zetknięciu ze sprawami religijnymi.

Jeden z jego bohaterów zachodzi w swych włóczęgach do Toleda. W tym mieście, w którym w ciągu kilkunastu stuleci jego historii ciągle szalała nienawiść i drgała miłość, w którego murach staczały się najzaciętsze walki wiar i wyznań, a w którego ciemnych alkowach milosne namiętności nieraz decydowały o losie największych spraw, w tym mieście, które było sceną najkrwawszych i najbardziej niszczycielskich bojów między jego każdorazowymi posiadaczami a jego poddaczami, — w tym mieście bohater Baroju szuka mistyki!

Gdy w ciągu mego pobytu w Hiszpanii zajeżdżałem w tolekańskie ulice, byłem w tym wieku, co bohater Baroju. Pamiętam chwilę, kiedy z drogi zeschłej i pokrytej żółtym kurzem ujrzałem raz pierwszy wysokie wzgórze o stromych skalistych stokach, z dróżką pnącą się w górę linią melodyjnie wruszającą, z dumnym szczytem służącym za oparcie przysadzistemu i mocnemu w sobie Alcazarowi. Wrażenie było ogromne, jedno z najśliczniejszych jakich doświadczyłem kiedykolwiek. Z niezwykłego wzgórze szły słowa o rzeczy, która zdawała się mieć już za sobą ostatni rozdział życia. Gdy byłem u stóp, znalazłem na dróże kobietę niosącą dzban wody na głowie. Zycia w tym nie dostrzegłem. Z tak dawną wywodzącą się formę naczyń i ramienia uprzytomniły mi, że na powierzeniach tego wzgórze trwają jeszcze najodleglejsze światy. To wrażenie pogłębiało się ciągle. Starodawne mosty, starodawne bramy, powalone zamki, ulice ciemne i tak wąskie, że wyciągniętymi poziomymi ramionami można było dotykać przeciwnych domków, i domki same zbudowane w orientalnych strachem przed słońcem, i fizjognomie ludzkie, które znamionowała jakaś odrębna złożoność, i Zoderover, nazwa głównego placu, — to wszystko zawierało stulecia historii w nieznanym mi dotąd rozmiarze. Toledo stawało się dla mnie miastem, które głosem martwym opowiadało o życiu. Oglądałem potem kamienne ślady panowania Rzymian na tej ziemi, a potem ślady ich spadkobierców, Wizygotów, którzy tu mieli swą stolicę, a potem obfitą spuściznę Arabów, którzy tu sprawowali rządy przez trzy stulecia i pozostawili nie tylko swoje meczety i arabsko-żydowskie synagogi, ale przekazali swe upodobania katolickim kościołom, kaplicom i szpitalom. A bohater Baroju szuka w tym mieście mistyki katolickiej!

Oczywiście nie znajduje jej. Bo co? Bo... bo twierdzi, że ksiądz, którego poznał, jest nieswiadomym wolterianinem, że robi żarty na temat rzeczy najświętszych, że ideę religijną zastępuje kalkowiec ideą sztuki i że kościół jest dla niego tylko instytucją artystyczną. I jeszcze co? Jeszcze słyszy, że w tolekańskich klasztorach nie ma już kobiet bogatych i dobrze wychowanych, że tamtejsze zakonnice są ordynarne, że są to kobiety, które jako pracznice nie mogłyby zarobić na swoje utrzymanie i dlatego szukają go w klasztorach. Jeszcze słyszy o nich to i owo. Na podstawie takiego typu zasłyszeń i podobnego typu spostrzeżeń dochodzi do wniosku, że Toledo nie jest owym miastem mistycznym, o którym marzył. Właściwie należało by powiedzieć: zamarył. Bo to marzenie pojawiło się w nim nagłe, bez związku psychologicznego z tym, co było w nim poprzednio. Jest oczywiście, że stało się to tylko po to, aby o mieście, które jest siedzibą prymasa, mógł autor wypowiedzieć swe sceptyczne „obiekcje”.

Zdaje sobie sprawę z tego, że z postaci Baroju wypraporałem jedno włókno, sceptycyzm, i że wzdłuż niego prowadziłem wszystkie inne. Jest to niewątpliwie uproszczenie. Jedno jest pewne: składnik sceptycyzmu istnieje w osobowości Baroju stanowczo. Nie, jeszcze jedno jest pewne: ten składnik działa w tej osobowości na terenie wszystkich spraw, które poruszyłem. Działają w niej na tym terenie inne jeszcze siły psychiczne, to prawda, ale te pominąłem dla jasności konturu. Rysowałem.

TADEUSZ PEIPER

TADEUSZ GRZEBIENIOWSKI

IRLANDIA WSPÓŁCZESNA

POLITYKA
KULTURA
LITERATURA

WYDAWNICTWO „DRÓGI”

Skład Główny: Warszawa, Księgarnia TRZASKI, EWERTA i MICHALSKIEGO

ZOFIA KRZEMICKA

PÓŁ WIEKU W SŁUŻBIE NAUKI

Pięćdziesięciolecie Polskiego Towarzystwa Historycznego — to chluba pozycji polskiego świata historycznego nie tylko pod względem naukowego dorobku, ale przede wszystkim z uwagi na rolę, jaką odegrało Polskie Towarzystwo Historyczne na przestrzeni lat 50 w służbie narodu, w formowaniu polskiej myśli politycznej, w przekuwaniu ideologii narodowej w dobie dążeń niepodległościowych, w wytyczaniu szlaków rozwojowych opartych na ciągłości dziejowej polskiej racji stanu w Polsce Odrodzonej.

Prakomórka Polskiego Towarzystwa Historycznego — lwowskie Towarzystwo Historyczne zawiązane w październiku 1886, „narodziło się nie z jakichś przemysłowych i skomplikowanych profesorskich pomysłów, lecz z młodzieńczego porywu kilku skupionych około uniwersytetu i Ossolineum adeptów wiedzy historycznej, jak Oswald Balzer, Ludwik Finkel, Ferd. Pappée, Antoni Prochaska, W. Semkowiec i inn., przy duchowym ojcostwie i patronacie prof. Lisieckiego” — jak to określili w swym przemówieniu jubileuszowym nowo obrany prezes, prof. Ludwik Kolankowski. Garstka entuzjastów, wyposażona w znikome środki materialne (200 zł. r. zbranych dla uczczenia jubileuszu pracy pedagogicznej prof. Lisieckiego) stworzyła ognisko, mające ześrodkować wysiłki badaczy historii i miłośników historii dla ujawnienia prawdy historycznej i pokazania jej najszerszym warstwom społeczeństwa. Tak powstała platforma zorganizowanej pracy naukowej, która wypowiadać się miała w powstałym równocześnie *Kwartalniku Historycznym*. Pomimo ciężkich warunków udało się przełamać opory kordonów i przejść poprzez granice. Towarzystwo Historyczne stało się organizacją międzydzielnicową, która wciągnęła do współpracy rozmaite zgrupowania historyków i najwybitniejszych badaczy, pozyskała rzeszę miłośników. Rozkwit i rozbudowa Towarzystwa Historycznego to nie tylko zasługa wybitnych prezesów, jak Ksawery Lisiecki, Tadeusz Wojciechowski, Ludwik Finkel, Stanisław Zakrzewski i Franciszek Bukaj, to nie tylko wynik ofiarności szeregów dzielnych współpracowników, ale w znacznej mierze samej idei Towarzystwa i jego hasła. Dziwnie wspaniale iść do bogostawianstwa udzielone Towarzystwu przez umiarkowanego pierwszego prezesa, Lisieckiego. Stało się ono potężną dźwignią idei państwowej z chwilą odzyskania niepodległego bytu. Dążność do poznania prawdy — do ujawnienia istotnego przebiegu wydarzeń, do spojrzenia na przeszłość własnymi oczyma i dojścia do *prawdy historycznej* i jej poznania stało się *hasłem*, które realizowało Towarzystwo Historyczne w swych ramach organizacyjnych, i temu zawdzięcza swój międzydzielnicowy charakter w początkach przystosowany w ogólnie polski w dalszej ewolucji. W Polsce Niepodległej mogło się Towarzystwo Historyczne przystosować w Polsce Towarzystwo Historyczne, które zaważyło miało nie tylko na skutek rozszerzenia zasięgu terytorialnego ale dzięki opanowaniu mnogości nowych problemów i zagadnień, które narodzić musiały z posiadaniem własnej państwowości. Wyrazem żywotności i siły Towarzystwa jest wzrastająca ilość członków (przeszło 1200), skupiających się w coraz większej ilości nowych ognisk, które powstały nie tylko w centrach uniwersyteckich, ale i ośrodkach prowincjonalnych w związku z prądem badań regionalnych. Rivalizują one wszystkie w szlachetnej emulacji, w aktywności referatowej, odczytowej i wydawniczej. Pięćdziesiąt tomów *Kwartalnika* — to chluba obraz nauki polskiej. Wiele mówiący jest spis współpracowników pisma i członków Towarzystwa. Objął on tych wszystkich, których nazwiska zapisane są złotymi głoskami na kartach polskiej historiografii. Na łamach *Kwartalnika* zdobywała sobie ostrogę rycerskie dzisiejsza generacja historyków. Ster redakcyjny przechodził kolejno z rąk Lisieckiego do Oswalda Balzera, do Semkowiec, Pappée, Finkla, St. Zakrzewskiego, Ptasnika i T. Modelskiego, a obecnie K. Tyrbowskiego, lecz niezmienną pozostała linia czasopisma, które stało się sprawdzianem naszych zdobyczy historycznych.

„A służąc nauce, pełniło Towarzystwo Historyczne przez ciężkie lata niewoli wierną służbę ojczyźnie, wypełniało wielką pracę nad odrodzeniem ideowym narodu — służbę nie zogniskowaną w jakimś tendencyjnym, propagandowym dziejopisarstwie — ale w rozbudowie silnej i zdrowej *świadomości narodowej*, opartej na bezwzględnej *prawdzie*, uzyskanej przez szczerą pracę badawczą, i objęcie tą świadomością warstw najszerszych, z którego tego dawniej wyłączonych. Tak powstała wielka i potężna masa obywateli narodo- uświadomionych, tak wielka,



że aspiracje jej i dążenia zaważyły musiały na rozstrzygnięciu losów Polski”. I słusznie podkreślił prof. Kolankowski w dalszym ciągu swego jubileuszowego przemówienia wielką rolę, jaką odegrała wiedza historyczna, rozważająca w XIX wieku pytanie, jak żyłszy wolni i dłażegośmy upadli. „Owo po-

głębie i rozszerzenie wiedzy o wszelkich przejawach życia i bytu narodu w wiekach ubiegłych stało się *wielkim wkładem nauki historycznej w dziejach odrodzenia narodo-* u. Towarzystwu Historycznemu przypadało szczerne zadanie skierowania do wspólnego nurtu badań indywidualnych, związa-

nie ich energii i dążeń w jeden wielki wysiłek dla postępu nauki i narodu — dla oświecenia i podtrzymania swą opieką i organizacją całokształtu historycznego myślenia”. Niepodległość państwowa przekształciła naszą pożywkę i nasze historyczne miary i wagi, zmieniając nas ze zdeprymowanych lub rwących okowy poddanych obcych państw w wolnych obywateli. Aktywny ster dziejów na naszych ziemiach dostał się znowu w nasze ręce. Wtedy dopiero znikł z naszego dziejopisarstwa dawny ton minorowy — ton czynienia rekryminacji przeszłości i czczego stawiania jej dezyderatów. Dziś wśród wielkich i równorzędnych w nauce zagadnień dominuje problem wartości duchowych i moralnych sił twórczych narodu, poznanie walorów, jakimś stał naród w swej dawnej organizacji państwowej w okresie swej mocarstwowej, gospodarczej i kulturalnej ekspansji.

W tych słowach ujął prezes P. T. H. prof. Kolanowski obecne cele Towarzystwa, które weszło w drugie 50-lecie swego istnienia z wysoko podniesionym sztafardem, na którym gorejącymi głoskami wypisana była, jest i będzie — *Prawda i Wolność*.

ZOFIA KRZEMICKA

KAROL IRZYKOWSKI

PRZEKLEŃSTWO DOBREGO CZYNU

TEATR NARODOWY: *Powrót Przełęckiego*, sztuka w 3 aktach Jerzego Zawieyskiego.

W *Przebiegach* Żeromskiego tyle pozostało dziur i niedomówień, że sprawa tajemniczego trójkąta: Smugon — Smugoniowa — Przełęcki, prosiła się niejako sama o rektifikację. Dobry przeto pomysł miał Zawieyski, żeby zrobić to nie za pomocą rozprawy, lecz napisać dalszy ciąg *Przebiegów* i zrewidować w ten sposób jej zagadnienia. Przełęcki wraca po 10 latach — i co zastaje? czy pozostałe swego wyzroczenia się? czy Smugoniowa jest szczęśliwa? Czy Smugon jest szczęśliwy? Jak prosperuje instytut regionalny w Porebianach? Te i tym podobne pytania rozstrzygają się w sztuce, a publiczność łatwo bierze stronę nowego autora przeciw starymu, jest ujęta i z góry przekonana, gdy widzi taki wynik: że nikt nie jest szczęśliwy, że poświęcenie się Przełęckiego było pomyłką serca i rozumu. Dziś nie lubimy poświęceń ze szczęścia osobistego, uważamy, że one do budowy szczęścia ogółu nie są konieczne, bo sprawy ogółu mają inny budulec, w miejsce poświęceń i tak zastąpił wszędzie — przysmy. Więc jeżeli p. Monika Żeromska w nietaktownym skądinąd liście otwartym „protestuję” przeciw sztuce Zawieyskiego, wyzuwa słusznie, że jego sztuka jest bądź co bądź nie tyle literacka, ile — powiedzmy — życiową krytyką *Przebiegów* i samego Żeromskiego, pokazuje — przekleństwo dobrego czynu.

Ale Zawieyski podjął się zadania nad swe siły, nie sprostał mu. *Powrót* szwankuje przede wszystkim w dialogu, a z tym łączy się też sprawa treści, która jest nie wystarczająca. Dialog jest zbyt często bezradny, rozlekle, wypełniony trywialnościami w rodzaju „no i co?” (pyta Przełęcki) lub banalnościami („lepsza śmierć niż...”). W I akcie mówi się wciąż o jakiejś „robocie” a słuchacz nie dowiaduje się, o jakiej. Przecież to nie są już czasy spisów, kiedy „robotą” była czymś zrozumiałym samo przez się. Nieustannie tajemniczenie, odsuwanie point, przeciąganie zwierzeń, robienie nastroju i przygotowań do wypowiedzi, które ostatecz-

nie nie są rewelacją, kołowanie i powtarzanie, nieuzasadnione pauzy — taki dialog to jest albo złe rzemiosło albo trzymanie się niewłaściwego wzoru. Wzorem Zawieyskiego jest zapewne Ibsen, lecz u Ibsena tajemniczenie, retardacja, wyjmowanie pudełek z pudełek tłumaczy się tym, że jak na swoje czasy mówił rzeczy naprawdę odważne i niezwykłe. Na końcu takiego wkiekiego dialogu bohaterzy Zawieyskiego mówią sobie nieostrożnie: „dziwny człowiek z pana” albo „bardzo ciekawie się z panem rozmawiało” — gdy my tej dziwności ani ciekawości nie odczuwamy, a przynajmniej nie chcemy, żeby sam autor naszą ocenę przesądzał.

Szczególnie słabo wyszedł na tym Przełęcki, utrzymany zresztą w charakterze, jaki mu dał Żeromski, lecz nie napełniony nową treścią, ogromnie wychudzony i zgaszony. Być może, że autor, powodowany pietyzmem wobec Żeromskiego, nie chciał tej figury zbytino przerabiać po swojemu, ale w takim razie po co sztuka. Bardzo ubogo wypadła zwłaszcza część erotyczna sztuki. Zawieyski opowiada, że w rok po wypadkach *Przebiegów* Smugoniowa odgadła szlachetny postępek Przełęckiego, szukała go bezskutecznie, wróciła jak nieżywa i odtąd już nie była Smugoniowi żoną, bo Przełęcki stał się dla niej bożyszczem. Ileż tu rzeczy nieodpowiedzialnych! A po tych 10 latach jakże mdle jest spotkanie tych dwojga! Stanowczo za dużo chce się dziś wyrazić przez *apoteosis*, przemilczanie (w powieści, w liryce także), jest to metafora bardzo zawodna i — wygodna. W końcu Przełęcki rezygnuje po raz drugi, to bardzo naturalne, ale chcielibyśmy lepiej wiedzieć jak i dlaczego. Smugoniowa jest biernym kłosem, znowu jest to bardzo naturalne, ale i kłosek ma swoje wysłowienie. Szmydłowa stawia np. słuszny zarzut, czemu Smugoniowa nie rozumie, że i Smugon cierpi, czemu jej to wcale nie interesuje. Nie dociągnięte linie stosunków między ludźmi, nie wygrane do końca wątki.

Najlepiej i najobficiej wyszła strona pedagogiczna sprawy Przełęckiego, ale mija jeden akt i drugi, zanim rozumiemy zaczynamy, na czym polega fiasco instytutu w Porebianach, co znaczy kontrast między Przełęckim

a nową gwiazdą pedagogiczną Gabrysiem. Ale ta różnica jest dosyć obojętna, raczej polityczna, administracyjna, nie splata się organicznie z resztą sztuki i jej założen. Gabrys, ten nowy Przełęcki, jest udaną figurą, tu Zawieyski okazał się twórczym, wzbogacił rzeczywiście cały inwentarz problemu *Przebiegów*. Ale stało się to kosztem Przełęckiego. Zdziwienie nas ogarnia, że ten genialny Przełęcki, co prawda po 10 latach niebytności w kraju, nie orientuje się w nowych warunkach działalności pedagogicznej, upiera się przy swoim instyтуcie, choć Gabrys mu wytłumaczył jego zaszędzienie. Upiera się — nie upiera. Bo w scenie z Gabrysiem Przełęcki sam przecież ofiarowuje mu swą współpracę w zakładanym przez Gabrysię uniwersytecie ludowym, dopiero gdy Gabrys — to jest doskonale i niespodziany pomysł — odrzuca tę pomoc, Przełęcki na nowo przekonuje się do instytutu. Niewyjaśnione są to sprawy w swym pragmatyzmie; zapewne stary „omnibusowy” niefachowy instytut Przełęckiego będzie zaszedzienie wychowankom idee humanitarne, ogólnoludzkie, poświęceniowe, lepiej niż chłopski a otrudzone zakład Gabrysiem, — ale to sobie dopiero wykombinować potrzeba, autor czegoś tu nie doborzył.

Wystawieniu *Powrotu* zarzucam, że nie pomogło młodemu autorowi, raczej mu zaszkodziło. Wady dialogu zostały powiększone przez rozlekanie pauz, przez nudne i ciche mówienie. Jak grała p. Modzelewska jako Smugoniowa, tego nie wiem, bo jej wcale nie słyszałem. Osterwa jako Przełęcki grał tak, że widać było, że ten Przełęcki nie ma wiele do powiedzenia, — dał jednak bądź co bądź dawną sympatyczną sylwetkę. Najlepszy był Smugon p. Dominiaka, ale bo też i Smugon Zawieyskiego jest obok Gabrysiem najlepszą figurą sztuki, — ma krew, nienawidzi, skarży się, demaskuje.

Szkoda tematu! I szkoda autora, który miał kilka dobrych i głębokich pomysłów a był widocznie skrepowany; przesłanki, które powinny były ułatwić mu pracę, w końcu mu ją utrudniły.

KAROL IRZYKOWSKI



„POWRÓT PRZEŁĘCKIEGO” W TEATRZE NARODOWYM. AKT III.

ŚWIAT KSIĄŻEK

STEFAN BALEY: *Osobowość twórcza Żeromskiego* (studium z zakresu psychologii twórczości). Nakł. „Naszej Księgarni”, W-wa 1936, str. 228.

Bogata wielokształtność Żeromskiego, tyle kłopotu sprawiająca miłośnikom segregacji i wszelkiego schematu, ujawnia ciągle jeszcze dziewicze tereny, na które wkracza stopa badacza.

Właśnie prof. Stefan Baley podjął ostatnio ogromnie interesujący problem struktury psychicznej osobowości Żeromskiego¹, ilustrując swoje tezy odnośnym materiałem artystycznym. Niekiedy będą to stwierdzenia rzeczy już wiadomych, lecz czekających na systematyczne powiązanie w całość i wyjaśnienie; niekiedy — odkrycia, dorzucające do wiedzy o Żeromskim nowy aspekt.

Postawienie ewentualnych „antytez”, co do struktury psychicznej autora *Popiołów*, zostawiając kompetentnym fachowcom-psychologom, pragnę jedynie omówić na tym miejscu „temat literacki” wymienionej pracy. Jak wpływają na twórczość Żeromskiego cechy kardynalne jego psychiki?

Prof. Baley upatruje w strukturze psychicznej Żeromskiego trzy główne cechy, powiązane ze sobą ściśle, stale współgrające na dnie duszy i w kształcie skomplikowanym, niejednokrotnie trudnym do zrozumienia — dochodzące do gósu: perseweracyjność, synestezyjność i wzruszeniowość. Te to pierwiastki zasadnicze omawia autor w sposób jeśli nie zawsze wyczerpujący, to jednak wnikliwy i zdradzający dużą inwencję.

Referując jednak tezy prof. Baley na użytek recenzji należy dla większej klarowności rozpocząć w porządku odwrotnym, więc raczej emocjonalizm Żeromskiego wywołując na plan pierwszy.

Zgodnie z powszechnym głosem krytyki prof. Baley podnosi wyjątkowo instynktów autora *Ludzi bezdomnych*. Wypowiadają się one „obficie” i intensywnie. Stąd stany Żeromskiego przybierają niekiedy formę paroksyzmów, nieokielzanych wybuchów, a środki wyrażenia, t. j. styl, nabierają tylekroć podkreślanego charakteru superlatywizmu.

A ponieważ, jak stwierdza prof. Baley, instynkty antagonistyczne nie tylko współistnieć mogą w jednej i tej samej osobie, lecz niekiedy „jak gdyby częściowo zachodzą na siebie, przykrywają się nawzajem, nie niszcząc siebie jednak przez to i nie przystępując”, — następuje brzemienne w skutki wielotorowość. Wzgarda i litość, rozpacz i radość, irytacja gwałtowna i pogoda, zemsta i rozgrzeszenie — łączą się w sposób naturalny lecz trudny do zrozumienia. Albowiem, przykładając do bohaterów Żeromskiego przeciętną, ludzką miarę, trudno rozstrzygnąć, czy są oni szczęśliwi czy nieszczęśliwi, stanowiący czy niezdecydowani i t. p. Stąd różnice w ocenie typów Żeromskiego, gwałtowne negacje i apoteozy.

Zapewne, jest to rzecz fenomenalna: nosić w sobie tak różne pierwiastki kontrastowe. Autor omawianej książki wyraża przekonanie, że na szarmonizowanie przeciwstawnych sobie tendencji nie zezwoliła Żeromskiemu jego natura, będąca pomieszaniem dwu typów kretschmerowskich: cyklotymika i schizotymika. Jak wiadomo, pierwszy typ charakteryzuje nagle przejście od aktywności i wesołego nastroju do apatii i na odwrót. Prof. Baley, stawiając swoją tezę, sięga po dowody jedynie do utworów Żeromskiego, niewątpliwie gdyby chciał uwzględnić materiał tak subiektywny, jak listy pisarza — znalazłby jeszcze więcej danych na potwierdzenie słuszności swojej myśli. W istocie, osobowość Żeromskiego przyrównać można do fal, przebiegających arytmicznie. Skoki podniecenia i depresji, fazy wzmożenia i upadku... Te właściwości Żeromskiego tłumaczą braki w jego konstrukcjach powieściowych, nagle zrywy w postępowaniu bohaterów i t. p. Poszarpana tkanina takich utworów, jak *Ludzie bezdomni*, *Popioły*, *Przedwiośnie*, zdaje się być wytworem „maniakalnych” faz w przebiegu twórczości Żeromskiego.

Wstrząs wzruszeniowy, ogarniający całą psychikę na skutek nadwrażliwości uczuciowej i pobudzenia jakiegoś określonego zmysłu łączy wielokrotnością dzięki drugiej kardynalnej właściwości Żeromskiego: skłonności do synestezji. Zjawisko to można by przyrównać do rozchodzenia się kół na wodzie po rzuceniu kamienia. Pobudzony został jeden tylko zmysł, lecz współodpowiada również inny.

Tą skłonnością do synestezji da się wytłumaczyć wrażenie chaosu, jakie sprawia lektura pisma Żeromskiego. Wszystko tu jest jakoś połączone, powiązane, stopione; wszystko jakoś zlewa się, upodabnia się, przenika i współgra. Dzieło Żeromskiego niby harfa za dotknięciem brzmii od razu na wszystkich strunach. Co więcej! Dyspozycje syne-

stezyjne musiały nasilić antynomię psychiczną Żeromskiego, musiały sprawić, że odczuwały się one wielokrotnym echem w różnych sferach. Prof. Baley wysuwa bardzo ciekawą tezę, że tu tkwi źródło tragizmu Żeromskiego. Już nie źródło — spieniony nurt, który po wszystkich zylach krwią buszuje, rozdzwaja się i kotłuje w obiegu. „Jak mogła rozwijać się wiara — zapytuje prof. Baley — której od razu przeciwstawiało się zwątpienie, zachwyt, na którego dnie czało się ironiczne szyderstwo, miłość, której przeciwstawiała się nienawiść, rozkosz, która stale podsyta była smutkiem?”. Jeśli nawet takie odwołanie się do osobliwości struktury psychicznej pisarza nie tłumaczy przyczyn owego konfliktu w sposób całkowity, to jednak w znacznej części wydaje się słuszne. W każdym bądź razie wiedzy o Żeromskim przybysza bardzo ciekawa teza: synestezyjność, jako źródło tragizmu autora *Róży*.

Z tej też przyczyny zdają się pochodzić dysproporcje artystyczne w dziełach Żeromskiego: owo pomieszczenie natchnionych stron z szarymi wkładkami ze społecznikowskich broszur, nieskazitelne piękno i prawie grafomania. Bo jeśli ciągły konflikt psychicznych kontrastów z jednej strony zapłaniał wyobraźnię pisarza a za pomocą synestezyjności budził wszystkie struny, to z drugiej — wymagał ciągłego napięcia twórczych sił, nieomal ekstazy pełnego widzenia, ustawicznego podnoszenia się na poziom, na którym trudno było wytrwać stale.

Trzecią kardynalną cechą struktury psychicznej Żeromskiego jest, zdaniem prof. Baley, perseweracja. Jakies słowo, jakieś wyobrażenie wraca stale, natasuwa się natrętnie. Dwukrotne, trzykrotne powtórzenia zdają się być ozdobą stylu, ale oto odnajdujemy jedne i te same elementy, oddzielone tylko przerwami. Perseweraują słowa, zdarzenia, sytuacje, konflikty i postaci bohaterów, zyskujące sobie niejako sobowótów. Właściwie mówiąc, przez twórczość Żeromskiego snuje się ciągle jeden i ten sam wątek. I tylko genialność pisarza sprawia, że urasta on w wielką i pyszną osnowę.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

FRANCOIS MAURIAC: *Zycie Jezusa*. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój”. Przekład Marii Czapskiej.

Istotą religii jest wiara w wieczność, w bezwzględne istnienie pewnych wartości, które nadają moralne znaczenie życiu — a wreszcie zesrodkowanie całego życia uczuciowego około tych bezwzględnie przyjętych wartości oraz dążność *ad aeternitatem animi*. „Istotą chrześcijaństwa jest Chrystus. I to nie tyle jego nauka, co jego Osoba. Toteż teksty brane oddzielnie, w oderwaniu od Niego, tracą od razu swoje znaczenie i swoje życie. Cała przenikliwość krytyków, cała ich cierpliwość i rzetelność mogły przynieść, i niezawodnie przyniosły, duże usługi w dziedzinie materialnych badań nad księgami, w których kościół pierwotny zawarł swoje wierzenia; wszelako bez wiary egzegetyki nie byłoby mogli wniknąć w życie wewnętrzne tekstów, nie mogliby poznać ich ciągłości, dynamiki i tajemnicy, osiągalnych jedynie w Promieniowaniu Obecności, która jest ich duszą”.

Te słowa, wyjęte z dzieła p. t. *Poemat Liturgii Świętej* Maurycjusza Zundela stały się mottem książki Francois Mauriac.

„Wyznaję — mówi Mauriac — że zawsze obcy był mi stan umysłów (który szanuje) tych ludzi, co, powołując się na katolicyzm, wzbraniają się jednocześnie wierzyć w Chrystusa realnego. Gdybym nie wierzył w słowo pewnego człowieka urodzonego za Augusta, a ukrzyżowanego za Tyberiusza... dogmaty Kościoła, jego hierarchia, dyscyplina, liturgia straciłyby dla mnie wszelką wartość, nawet wszelkie piękno: jego piękno to blask prawdy. Gdyby Jezus nie był Chrystusem, odczuwalnym w katedrach tylko przez ogromną pustkę”. W wyznaniu tym streszcza się cały stosunek artysty do Chrystusa: Mauriac pragnie udowodnić na podstawie tekstów, że Jezus z Ewangeliści jest przeciwieństwem istoty sztucznej i złożonej. „To postać najbardziej dynamiczną spośród wielkich postaci Historii”.

Książka ta nas niepokoi. Mauriac zmusza nas, abymy byli uczestnikami w walce — o jego Boga... Mauriac wie, domyśla się, iż „książka ta wzniesła błogosławioną niepokój w niejednym uśpiętym sumieniu”. Wynikiem tej walki — rozmyślał nad Osobą Jezusa, Boga żywego, jest właśnie owe dzieło.

Pierwsze wydanie francuskie *Zycia Jezusa*, które ukazało się w lutym roku 1936 z aprobatą władz duchownych, rozeszło się w ciągu pięciu miesięcy. Sam autor tłumaczy ten fakt — „aktualnością” osoby Jezusa Chrystusa. „Moment dziejowy, który

przeżywamy, pozwala nam wniknąć w treść tajemniczego zapytania, jakie Jezus zadał sobie samemu i pozostawił bez odpowiedzi: „Wszakże, gdy przyjdzie Syn Człowieczy, czy znajdzie wiarę na ziemi?”.

LESZEK BARTELSKI

BOLESŁAW PIACH: *Nas jest więcej...* Str. 187. „Nasza Księgarnia”. Warszawa 1937.

Nas jest więcej... — „nas” t. zn. dzieci, wychowanych w nędzy, nędzą gnanych poprzez koleiny pełne błota, zagubionych w nieszczęściu, opuszczonych i pokrzywdzonych; dzieci, które pozostawione w takich warunkach same sobie giną — jeśli im ręki nie poda i drogi nie wskaże. Spotykamy je wszędzie: włóczęgę się na „wagarach” grupami, „na gape” podróżując z miasta do miasta, pod mostami nocując, na ławkach w parku, na klatkach schodowych, żebrząc, kradną — stali klienci sądów dla nieletnich. Ci wszyscy są bohaterami książki Bolesława Piacha. I wszyscy potrzebują dobrych ludzi, wychekują ich nieświadomie, szukają, wiedząc, odczuwając, że dzięki dobrym ludziom nie utoną. Charakterystyczne, że ci „dobrzy ludzie” są dziećmi obcy, nie związani z nimi pokrewieństwem, rodzice zaś są „nijacy”. Nie źli, ale i nie dobrzy. Nieszczęśliwi jak dzieci.

„...pewnie, że bieda robi z nas przestępców, ale to nie wszystko — pisze w pamiętniku Danusia, która w „poprawniaku” odzyskała pamięć.—Bardzo ważne jest wychowanie. Nas teraz wychowuje pani Zofia. Ona ma dwadzieścia parę lat, uczyła się kilka naście lat, zanim została wychowawczynią. Za to mój ojciec umie tylko czytać i pisać, a mama nawet tego nie umiała. Moja macocha też jest niewykształcona. Więc skąd tacy ludzie mają wiedzieć, jak trzeba wychowywać dzieci, jak trzeba w nich wyrabiać ten charakter i siłą woli. Pani Zofia uczyła się, jak trzeba postępować z dzieckiem, kiedy ma 8 lat, kiedy ma 11 i kiedy jest już zupełnie duże — a oni? Oni wiedzą tylko tyle, że jak dziecko jest niegrzeczne albo im w czymś przeszkadza, to trzeba je zbić. A jak im jest źle w życiu, to jeszcze więcej biją dziecko. A jak im jest tego dziecka żal, że się tak razem z nimi męczy, znowu je biją ze złości, że nie na to nie mogą poradzić”.

Tytuł *Nas jest więcej...* ma podwójne znaczenie i „nas” w tym drugim znaczeniu obejmuje tych wszystkich, którzy nie spotkali dobrych ludzi, którzy — jak Jurek — skazani zostali na całowieczną przemianę się cieniem, z głową wciąż w ramionach, z kapeluszem na oczu nasuniętym, w ucieczce przed granatową sprawiedliwością.

Bolesław Piach rozporządza stylem opartym, przystosowanym do koloru powieści, zgodnym ze sposobem odczucia bohaterów. Książkę cechuje świeżość i bezpośredniość w narracji czy opisie, a przede wszystkim stara ale niezwykle szlachetna tendencja.

HENRYK HUZIK

ANNA ODERFELDÓWNA: *Młodzież przedmieścia*. Z badań ankietowych na Ochocie. Instytut Spraw Społecznych. Warszawa 1937.

Wydana przez Instytut Spraw Społecznych praca stawia sobie za zadanie „oświetlić warunki życia tej młodzieży, o której społeczeństwo nie wie prawie, dla której nie prawie nie robi”. Przedmieście stolicy, „w którym krzyżują się wpływy wielkiego miasta z warunkami bytowania nieraz niemal wiejskimi”, bardziej niż jakiegokolwiek innego środowiska zalamuje w sobie jak w pryzmacie wszystkie bolączki życia współczesnego i alarmująca wymowa cyfr wola o zorganizowanie produktywnej pomocy.

Za teren obserwacji obrano zatem Ochotę, ulegającą młodzieży od lat 16 do 20, jako tę, która ma już poza sobą naukę w szkole powszechnej i posiada prawo wykonywania pracy zarobkowej. Za górną granicę wieku przyjęto wiek poborowy młodzieży.

Informatorzy społeczni, których zadaniem było zbieranie danych ankietowych, docierali do młodzieży dwojaką drogą: poprzez spisy absolwentów ochockich szkół powszechnych i poprzez kartoteki t. zw. „rodzin podopiecznych”, tj. korzystających z pomocy instytucji społecznych. Grupa absolwentów reprezentuje lepszy poziom materialny i kulturalny, grupa druga — to najuboższe rodziny Ochoty. W ten sposób uzyskano dużą rozpiętość warunków bytu, reprezentowanych przez 200 młodocianych przedstawicieli ludności ochockiej, bardzo niejednorodnej klasowo, bo sięgającej od nielicznej inteligencji zawodowej i drobno-mieszczastwa poprzez różne gatunki proletariatu aż do najskrajniejszych nędzarzy

bez ustalonego zawodu, trudniących się dorywczo przypadkowymi zajęciami, albo też vegetujących ze skąpych zasiłków instytucyj społecznych.

Przy pomocy kwestionariusza i pytań uzupełniających zebrano pokaźny materiał ankietowy, opracowany następnie przez Annę Oderfeldówną.

Główną bolączką, uderzającą w charakterystyce środowiska, są fatalne warunki mieszkaniowe, nad czym jednak młodzież ochocka ubolewa znacznie mniej niż nad brakiem odzieży. „Porządne ubranie” jest w tej sferze przedmiotem największej troski, jako zewnętrzny miernik stopy życiowej, ułatwienie znalezienia pracy i droga do powodzenia w życiu towarzyskim.

Na stosunku młodzieży do nauki wyraźnie zaciążyło położenie materialne. Nawet w grupie zamożniejszej, reprezentowanej przez absolwentów szkół powszechnych, konsekwentnie kontynuowanie nauki w szkole średniej jest rzadkością ze względu na trudności pieniężne, nieumiejętność przystosowania się do nowych warunków pracy i „kompleks niższości”, rodzący się w zetknięciu z zamożniejszymi kolegami, a niestety podsycony niewłaściwym stosunkiem dyrekcyj i wychowawców. Ta ścisła zależność między nauką a położeniem materialnym jeszcze jaskrawiej występuje w grupie uboższej. Nędzne warunki mieszkaniowe, brak odzieży i pomocy szkolnych, choroby, ignorancja rodziców, a wreszcie konieczność wczesnego zarobkowania, sprawiają, że młodzież ta w 12-tym, 13-tym, a najdalej 14-tym roku życia opuszcza szkołę, ukończywszy przeciętnie zaledwie 4 oddziały, nie mając czasami ochoty na późniejsze dokształcanie na kursach wieczorowych.

Nie lepiej przedstawia się dokształcanie w szkole dziennej zawodowej. Okazuje się, że chronicznie bezrobocie — pierwsza klęska, z którą styka się młodzież przy wejściu w świat pracy — działa paraliżująco na wszelką inicjatywę specjalizowania się w jakimś określonym zawodzie. Częste zmiany pracy dorywczej, niewykwalifikowanej i źle płatnej, nędza okresów bezrobocia, piętują wszystkie poczynania młodocianych bezplanowością i tymczasowością. „Życie z dnia na dzień jest nakazem, podporządkowanie dalszych celów bliższym, codziennym potrzebom — koniecznością”. W rodzinach zamożniejszych te same zjawiska występują w nieco mniej dotkliwym stopniu. Przyszłości obrany syn pracującego ojca dzięki jego stosunkom łatwiej może znaleźć zatrudnienie, niż syn bezrobotnego. Nędza i bezrobocie z reguły niemal okazują się dziedziczne...

Rozdział, ilustrujący skalę potrzeb kulturalnych badanej młodzieży, przynosi fakty na ogół powszechnie znane: kino i sport jako najulubieńsze rozrywki, gazeta jedynie jako źródło informacji o wypadkach i kradzieżach, w zakresie czytelnictwa upodobanie do książek „lekkich”, nie wzbogacających umysłu, lecz wzmagających jedynie chaos poglądów i dążeń. Zestawiając ten rozdział z obrazem innych potrzeb życiowych badanej młodzieży, zauważać można, że główne jej aspiracje kulturalne idą w kierunku posiadania lepszej odzieży i możliwości uczęszczania do kina, podczas gdy potrzeby kulturalne, a zwłaszcza higieniczne, schodzą na dalszy plan.

Rozdział pt. *Poglądy i dążenia*, najciekawszy bodaj z całej pracy, ilustruje przez umiędzynawienie poszczególnych wypowiedzi chaotyczny „światopogląd” tej młodzieży, będący wypadkową niezadowolonego życiowego, ignorancji i wpływów zewnętrznych. Przejawia się on w wypowiedziach na temat pracy, bezrobocia, kryzysu, różnic klasowych, zagrożeń rządu, państwa, mniejszości narodowych itp.

Szczególnie uderzające są tu antynomie w poglądach, wynikające ze struktury gospodarczo-społecznej, której młodzież nie rozumie, a której bolączki odczuwa bardzo silnie. Badani żywią uwielbienie dla techniki a jednocześnie upatrują w niej przyczynę bezrobocia, potępiają bogactwo o zarzem aspirują do niego, pracę uważają nie za obowiązek społeczny, lecz za elementarne prawo każdej jednostki, a jednocześnie żywią zawistną niechęć do tych, którzy tę pracę posiadają.

Młodzież przedmieścia to książka niewątpliwie smutna, a zarazem bardzo interesująca. Różnorodność i żywotność poruszonych zagadnień, sumiennie, wnikliwie i głęboko opracowanych przez Annę Oderfeldówną, czyni z tej książki cenną lekturę nie tylko dla „specjalistów od spraw społecznych”, ale dla każdego poważnie myślącego i czującego laika.

HENRYKA ŁAZOWERTÓWNA

SZTUKA T. CIEŚLEWSKIEGO

PRZEGLĄD PRASY

Rysunki Tadeusza Cieślewskiego syna i jego drzeworyty stanowią jakby dwa różne światy. Drzeworyty tego artysty cechuje jakiś metafizyczny niepokój; stwarzają one atmosferę grozy, która następnie sprowadza myśli na drogi rozważań o rzeczach nadziemskich.

W tym kręgu doznań i wzruszeń powstają niemal wszystkie jego drzeworyty. Nawet w chwilach, gdy wchodzi z rzeczywistością w kontakt najbliższy, nie umie czy też nie chce pozbyć się owego nadziemskiego spojżenia. Okno, najwyklesze okno paryskiej pracowni, w rytmie swych linii, w całym układzie i niesamowitym wyroku przestaje być oknem, które otwiera widok na paryskie ulice, domy i świątynie, a staje się łącznikiem między codziennością, zamkniętą czterema ścianami, a życiem pełnym, szerokim, doskonałym.

W widokach Starego Miasta ten pierwsiastek nadrealistyczny — mimo na wskroś ludzkiego uczucia, jakim darzy artysta te mury, wśród których zbiegły najszcześliwsze lata jego dzieciństwa i wczesnej młodości — staje się bardziej widoczny.

Najlichszy fragment zapomnianego domu



T. CIEŚLEWSKI OKNO

ku: jakiś szczyt, attyka, złamany dach, warty kamienny stopień, drewniane drzwi esto wybite gwoździemi, żebrak dygocący w mrocznej kruchbie kościola — wszystko to stapia się w jedną wizję, która wyraża głęboką prawdę życia, a umiłowaniem się; ga aż po gwiazdami usiane niebo.

Przy takich drzeworytach rysunki Cieślewskiego wydają się igraszkami chwil wytchnienia i niefrasobliwego nastroju. Autor sam nie przywiązuje do nich zbyt wielkiego znaczenia i nazywa je po prostu notatkami. Powstały też one jak notatki. Dosłownie na kolanie, czasami ot tak trzymając blok w powietrzu, czasami opierając go o pień drzewa, czy jakiś wystający mur. Dzięki temu zyskują one na bezpośredniości, nieskrepowanej niczym swobodzie, stają się wolne od wszelkich, często męczących nadbudówek, przemawiają do widza walorami wyłącznie plastycznymi.

Między czarnymi, aż ciężkimi od zagadnień drzeworytami, a tymi niekiedy lekko tylko kolorowanymi obrazkami — zdają się rwać wszelkie węzły. Rozbieżność jest jednak pozorna. Właśnie te rysunki zbliżają do drzeworytów. Rysunek — jak wiadomo — jest w grafice kwestią zasadniczą. Linia buduje najistotniejszy sens grafiki, lecz z powodu mozolnej i często skomplikowanej techniki nie stykamy się z nią oko w oko.



T. CIEŚLEWSKI MIASTO



T. CIEŚLEWSKI Z TORUNIA

ale objawia się nam ona w pewnym powtórzeniu, odgradza się od nas czarną drukarską farbą i trudnymi do wyeliminowania przypadkowociami, rodzącymi się pod prasa.

W rysunku tego wszystkiego nie ma. Tutaj linia przemawia całą swoją doskonałością, a wszelkich jej braków nie da się pokryć żadną błagą. I dlatego rysunki obdarzają nas radościami, których nam nie dostarcza drzeworyt, ukazując nie tyle nowe, co pełniejsze oblicze artysty.

Rysunek ksylografa także można traktować jako egzamin ze znajomości wartości linii, choć z drugiej strony jak bez dobrego rysunku nie można sobie wyobrazić dobrego ksylografa, tak też niemożliwością jest poznanie wszystkich tajemników drzeworytu bez poznania czystego rysunku.

Dlatego też chcąc mówić o drzeworytach Cieślewskiego, należy dobrze zdać sobie sprawę z wartości jego rysunków, bo dopiero wówczas możemy ogarnąć całą jego sztukę.

STANISŁAW CIECHOMSKI

WYSTAWA F. RUSZCZYCA

W listopadzie b. r. nastąpi otwarcie wystawy prac ś. p. Ferdynanda Ruszczyca, znakomitego artysty malarza, zmarłego w listopadzie ub. r. w Bohdanowie pod Wilnem.

Wystawę organizuje Komitet Warszawski uczczenia Ferdynanda Ruszczyca, powstały w kwietniu b. r. pod przewodnictwem Marszałka Senatu Aleksandra Prystora. Niezależnie od Komitetu Warszawskiego, istnieją analogiczne komitety w Wilnie i w Krakowie.

Wydział wykonawczy, na którego czele stoi rektor prof. Jastrzębowski, uzyskał zgodę Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum Śląskiego w Katowicach oraz szeregu osób prywatnych na wypożyczenie znajdujących się w ich posiadaniu prac Ruszczyca na powyższą wystawę.

W Wilnie nastąpi otwarcie wystawy na cztery tygodnie przed jej uroczystym otwarciem w salonych Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

Prace Komitetu Warszawskiego odbywają się w 4 sekcjach: 1) wystawowej, na czele której stoi dyr. Lorentz, 2) teatralnej (dyr. Szyfman), 3) prasowo-propagandowej (dyr. Okulicz), 4) finansowej (nacz. Zawistowski).

Poszczególne więc sekcje projektują w rocznicę śmierci Ruszczyca, poza wspomnianą wyżej wystawą, wydanie teki z reprodukcjami barwnymi kilku najcenniejszych obrazów Ruszczyca, wraz z jego szkicem biograficznym, ponadto wystawienie *Ballady Słowackiego* w inscenizacji Ruszczyca w Teatrze Narodowym.

Warto bowiem przypomnieć, że *Balladyna* znana była po raz ostatni na deskach Teatru Polskiego w Warszawie przed 24 laty. Szkice do inscenizacji *Balladyny* według Ruszczyca znajdują się w komplecie w tece dyrektora Szyfmana. Wystawienie *Balladyny* stanie się na pewno wielkim wydarzeniem teatralnym również i z tego powodu, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat trudno było o znalezienie odpowiednich sił aktorskich.

Z pozostałych projektów trzeba jeszcze wspomnieć o tablicy pamiątkowej, która zostanie wmurowana w domu, który mieścił pracownię artysty podczas jego pobytu w Warszawie, a znajdującym się na rogu Al. Ujazdowskich i ul. Chopina.

...Chcemy zachować całkowitą czystość kryteriów artystycznych i dlatego świadomie i celowo abstrahujemy od autora jako człowieka mającego takie czy inne poglądy — oceniamy tylko i wyłącznie twórczość. Gdy mamy zatem przed sobą dzieło literackie czy inno-artystyczne, obojętne dla nas jest drzewo genealogiczne, metryka i paszport ideologiczny jego autora. Nie jest nam to potrzebne ani do oceny artystycznej ani ideowej. Dla oceny ideowej wystarczy nam osobowość twórcy taka, jaką znajdujemy w jego dziele, taka jaką widzimy poprzez pryzmat tego dzieła.

Przytoczone zdania pochodzą z listu otwartego redaktorów poznańskiej *Kultury*, ks. Stanisława Brosa i Eugeniusza Januszkiewicza do Stanisława Piaseckiego (*Kultura* z dnia 13 b. m.). Ten list otwarty stanowi pierwszorzędną dokument chwili. Oto redaktorzy *Kultury* bronią się przed zarzutem niekonsekwencji ideowej z powodu — uczciwej oceny utworów literackich, oceny rzeczowej, nie oglądającej się na pochodzenie autorów ani na ich przynależność partyjną. Ten niesłychany „zarzut“ postawił *Kulturze* warszawski, „bratni“ organ *Prosto z mostu*. Rzecz osobliwa i godna uwagi, jak pismo to, z pozoru wrogie *Wiadomościom Literackim*, jest im bliższe; mianowicie pod względem ogólnej atmosfery, obyczajów. Takie zarzuty, jak postawiony *Kulturze*, rodzić się mogą tylko w specyficznej atmosferze dzisiejszej intelektualnej Warszawy, gdzie zasadniczą bronią w walce ideowej jest — przemilczanie (*Totschweigen*), a jeśli trzeba się odezwać, robi się półgębkiem, od niechcenia, atakując niefrasobliwym felietonem, dowcipkiem, nie obowiązującym wstykiem satyrycznym.

Redaktorzy *Kultury* piszą: „Pisarz, który nie potrafi poważnie traktować pracy innego pisarza, daje dowód, że nie odczuwa wielkości pracy twórczej, a zatem sam siebie degraduje“. I jeszcze to: „Nam jednak nie chodzi o popularność, lecz o poruszenie sadzawki polskiego katolicyzmu“.

Właściwie należało by przytoczyć wszystko. A komentarze do tego niepotrzebne.

W jednym z ostatnich nr-ów *Polski zbrojnej w kulturę* dr Bogdan Suchodolski ogłosił ciekawe i znamienne rozważania o tradycji kulturalnej. Wyróżnił w dorobku przeszłości tradycję żywą, tę która się ostaje jako czynnik naszych uczuć i działań, i tradycję martwą, o której się jedynie wie, mniej lub więcej dokładnie. Uprzytomnijmy sobie przy tej sposobności, jak się przedstawia nasz stosunek do literatury „klasyckiej“, do „arcydzieł“, nieustannie mumifikowanych przez filologię i uroczystych egegetów. Świącimy coraz to nowe rocznice: ostatnio Orzeszkowej, Prusa, niezadługo Asnyka; rosną zwały przyczynków, rozpraw doktorskich, materiałów biograficznych — jak niewiele zaś, jak nieproporcjonalnie mało pracujemy nad wytworzeniem w sobie właściwego stosunku do wartości, zawartych w zgromadzonym dorobku kulturalnym.

Rzadkim przykładem takiej śmiałej pracy rewizjonistycznej jest studium Henryka Dembińskiego w *Nowej Kwadrydzie* (nr. 4—5, za maj i czerwiec b. r.) o „stylu rewolucyjnych mieszczan i współczesnym pseudoklasycyzmie“. Dembiński kreśli perypety sztuki mieszczańskiej, przedstawia jej drogę od realizmu Holendrów do klasycyzmu rewolucyjnego Schillera i Davida (uderzająco trafna, głęboka paralela) i demaskuje współczesny pseudoklasycyzm, *falszyzy monumentalizm*, oparty na wewnętrzny samozakłamanii i oszustwie. Dembiński wyznaje określona filozofię kultury, związana z równie jednoznaczna ideologia polityczna; wnioski jego, dość jednostronnie zilustrowane przykładami z dwóch państw totalnych (Niemiec i Włoch) dają się łatwo rozszerzyć na trzecie państwo totalne (ex.: mauzoleum Lenina w Rosji Sowieckiej, Dnieprostrójce, Magnitogorski i t. d.); tym niemniej tezy jego są słuszne i przekonujące.

Towarzystwo Polonistów R. P. wydaje dwa czasopisma: *Zycie literackie* i *Polonista*. O pierwszym, wydawanym od niedawna, pisaliśmy już na tym miejscu swego czasu. Obecnie ukazał się drugi numer *Zycia*. Znajdujemy w nim dwa artykuły teoretyczne, rozprawę St. Żółkiewskiego, polemizującą z programem badań literackich R. Ingarde, oraz szkic L. Frydgo *O powołaniu krytyki literackiej*. Jest to artykuł o charakterze popularnym, rozwijający myśli z kręgu Brzozowskiego i jego ujęcia sztuki (sztuka,

czytamy we Współczesnej krytyce literackiej, jest to „uprzęstnienie inwmy swych własnych stanów wartościowych“). W dziele sprawozdawczym znajdujemy szereg recenzji z ostatnio wydanych tomów (Staff, Leśmian, Tuwim, Łobodowski, Miłosz, Swirszczyńska) utrzymanych na poprawnym poziomie krytycznym.

Drugie pismo wspomnianego stowarzyszenia, dwumiesięcznik *Polonista*, poświęcony jest zasadniczo sprawom dydaktycznym. I tu jednak znajdujemy nieraz pozycje ciekawe z literackiego punktu widzenia. Tak np. w ostatnich numerach ukazał się dłuższy artykuł dr Jana Kammera, omawiający żywą kwestię wprowadzenia literatury współczesnej do szkoły. Autor wymienia dzieła i pisarzy, którzy mogliby zainteresować młodzież; okazuje się, że jest ich wcale niemało. Czy jednak znajdzie się w szkole miejsce i czas na omawianie ich twórczości? Oto w tym samym, trzecim zeszycie *Polonisty* M. Pecherski pisze o projekcie programu jęz. polskiego dla liceów. Sądząc z artykułu, projekt ten przedstawia się groźnie. Nadmiar „zagadnień“, którym obciążono młodzież, musi niechybnie doprowadzić do czegoś verbalizmu, a mnogość celów, które ma osiągnąć nauka języka polskiego, może przyćmić siłę do osiągnięcia celu niezamierzonego: wywołania zamętu w młodziących głowach. Ciągłe więc nieszczęsny „polski“ odgrywa w gimnazjum rolę uniwersalną; kształci w używaniu języka ojczystego, zapoznaje z arcydziełami literatury, z historią kultury, wychowuje moralnie, obywatelsko i t. d. Czy nie było by z pożytkiem dla realizowania wszystkich tych, niewątpliwie ważnych zadań, przeprowadzić gruntowną *parcelację*, rozdzielić te rzeczy nie mające ze sobą nic wspólnego i postawić je obok siebie, każdą na wyodrębnionym, właściwym miejscu?

BALTIC AND SCANDINAVIAN COUNTRIES

Styczeńowy numer *Baltic Countries*, równie imponujący jak i poprzednie, ukazał się pod powyższym rozszerzonym tytułem. Kierownictwu pisma udało się o tego numeru pozyskać współpracę szeregu wybitnych specjalistów z różnych dziedzin i różnych krajów. Większą część numeru zajmują artykuły poświęcone zagadnieniom ekonomicznym a także i geopolitycznym. Na czolo wysuwa się ciekawa rozprawka Jana A. Wildera o gospodarczym upadku Prus Wschodnich, uzależnionych ściśle od dobrych stosunków utrzymywanych z swoim polskim „hinterlandem“. Dalej idą pracowite zestawienia o handlu zbożowym Rygi w XVII w. Łotwsza Dunsdorfa, informacyjne studium Malowista o Bałtyku i Czarnym Morzu w dziejach handlu średniowiecznego oraz studium K. Górskiego o państwach zakonnych nad brzegami Bałtyku. Na uwagę zasługują dalej artykuły J. Ancella o politycznej geografii wschodniego Bałtyku, Roucka o Polakach w Ameryce, Leitgebera o Dardanelach i Sundzie i niezwykle ciekawy szkic Andrzeja M. Neumanna o wpływie, tak efektywnym, jak wykazała rzeczywistość, szwedzkiej teorii ekonomicznych na Anglię. Dziełom dyplomatycznych stosunków polsko-zagranicznych poświęcony jest artykuł B. Dembińskiego o Williamie Gardinerze, ostatnim brytyjskim ministrze na dworze Stanisława Augusta, oraz studium min. Bertoniego o dyplomatach szwedzkich w Polsce w wieku XVIII.

Zagadnienie stosunku Przybyszewskiego do Skandynawii opracował St. Helsztyński, dając w swoim artykule całkowity obraz stosunków zewnętrznych, łączących poetę z Północą.

Numer kończy jak zwykle bogaty dział recenzji, obejmujący dzieła z najrozmaitszych bałtyckich i skandynawskich dziedzin, oraz ciekawa, ale zbyt może w wyrazie niewośniągława, odpowiedź slawisty z Aarhus Stender — Petersena na Brücknera krytykę jego ostatniej książki o „sadze Waregów jako źródle staroruskiej kroniki“. Na szczególną uwagę zasługują bogata bibliografia periodyków i twórczych sił historii, archeologii, filologii i ekonomii krajów bałtyckich i skandynawskich, otrzymywanych przez Instytut Bałtycki, których by po większej części daremnie było szukać po innych bibliotekach krajowych.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 17 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Wilam Horzyca